

Należy także docenić stronę estetyczną książki, wzbogaconą o fotografie i reprodukcje ks. Roberta Guzy oraz Danuty i Stefana Górniaków, przedstawiające rzeczywistość Polski lat pięćdziesiątych XX wieku.

Książka pod redakcją E. Walewandra spełniona jest refleksją nie tylko nad intensywnością, ale także nad efektywnością ofensywy ideologicznej tamtych lat. Kolejne artykuły prowokują do przemyśleń i do dalszych badań, które z pewnością pozwolą odczytać intencje zachowań społecznych i zrozumieć co rzeczywiście działo się w polskiej ideologii wychowawczej i w polskiej szkole w latach 1945-1956.

Niewielki błąd w dacie, jaki zauważa się na obwolucie książki jest prawdopodobnie błędem drukarskim. Autorowi chodzi zapewne o rok 1956, datę jaka figuruje wewnątrz, na stronie tytułowej (odczuwaną przez społeczeństwo jako wielka ulga i zapowiedź pozytywnych zmian).

Biorąc pod uwagę wszystkie wymienione zalety omawianej książki należy uznać jej walory społeczne i intelektualne oraz zachęcić potencjalnego czytelnika do przeczytania.

*Małgorzata Postulszna*

## **Dorota Żołądź-Strzelczyk, Dziecko w dawnej Polsce, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002, s. 356**

„Nasze trwanie nie polega na tym, że jedna chwila zastępuje inną; istniałaby wtedy tylko teraźniejszość, nie byłoby przedłużania się przeszłości w aktualność, nie byłoby ewolucji ani konkretnego trwania.. Trwanie to ciągle postępowanie przeszłości, wgryzającej się w przyszłość i nabrzmiewającej w miarę postępowania naprzód. Ponieważ przeszłość przez cały czas narasta, tym samym przechowuje się nieograniczenie. Przeszłość, ze swej strony będąca czymś wirtualnym, może być przez nas ujmowana jako przeszłość tylko wówczas, jeśli przyswoimy sobie ruch, za pomocą, którego rozwijała się ona w aktualny obraz, wyłaniając się z ciemności na światło dzienne”<sup>1</sup>. Czas zwykliśmy dzielić na to, co „wczoraj”, „dziś”, i „jutro”, historią nazywać to, co nieodmiennie związane z wczoraj. Henri Bergson, w przytoczonych wyżej słowach, przeciwstawia się tak radykalnemu rozdzieleniu przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, wydaje się proponować zamiast tego słowo, niezwykle pojemne, jakim jest, ciągłość, pamięć. Nie sposób zrozumieć to, co minęło ani tym bardziej to, co jest, bez wnikliwego przestudiowania procesu, ruchu za pomocą, którego „aktualny obraz wyłania się z ciemności na światło dzienne”. Wydaje się to być najpiękniejsza pochwała historii, bez

niedzien dzisiejszy byłby jakby okryty szalem, niekompletny, nie do końca zrozumiały. Trudno zdać sobie sprawę z tego, iż za każdym przedmiotem otaczającej nas rzeczywistości kryje się jego historia (może tak zresztą jest lepiej, po cóż nam świadomość wszechogarniającego i wszechobecnego czasu i piętna, które zaznacza on na materii?), niemniej dostrzec „przeszłość” nawet najdrobniejszej rzeczy czy istoty to niewątpliwa sztuka. A ja miałam ogromne szczęście z tą sztuką przez moment obcować. Celowo użyłam wyrazu „najdrobniejszej”, bowiem książka Doroty Żołądź-Strzelczyk jest historią dzieciństwa, czyli czegoś, co „najmniejsze” i z tego powodu omijane czy traktowane z pobłażaniem. Świadczy o tym choćby zaznaczony przez autorkę brak polskiej literatury naukowej, która zajęłaby się całościowym ujęciem dzieciństwa i spraw z nim związanych (wyjątek stanowi artykuł profesora Stanisława Łempickiego zamieszczony w „Kurierze Literacko-Kulturalnym”<sup>2</sup>, dotyczący dziecka w dawnej Polsce oraz nieliczne opracowania obejmujące zazwyczaj jedynie wycinek tak bogatej tematyki). Fakt ten dziwi tym bardziej, w kontekście zainteresowań badaczy zachodnich, którzy tematykę dziecięcą poruszają w swych pracach już od lat sześćdziesiątych. Wystarczy przy-

pomnieć książkę Philippe Ariès<sup>3</sup>, która dziś już uchodzi za klasykę, za lekturę obowiązkową dla każdego, kto jest zainteresowany tematyką dzieciństwa i jego historii.

Moje pisanie o książce profesor Żołędz-Strzelczyk jest pisaniem moim, jest jakby fragmentem myślo-rzeki, która swoje źródło odnalazła w chwili przeczytania dedykacji: „Mojej Agatce i wszystkim dzieciom – szczęśliwego dzieciństwa”. Dlaczego akurat zwróciłam uwagę na tę dedykację? Nie ma w niej nic szczególnego, ot zwykły przejaw matczynej uczucia, a jednak. Każdy z nas był kiedyś dzieckiem. No właśnie, odkąd istnieją ludzie istnieją też dzieci, istnieje dzieciństwo. Ono jednak zawsze jest postrzegane jednostkowo, indywidualnie, gdyż osobami postrzegającymi jest z reguły rodzina, są rodzice, którzy zawsze patrzą przez pryzmat uczuć. Stąd w centrum patrzenia jest zawsze ich dziecko, to jedyne. Czy którykolwiek z rodziców ma świadomość istnienia jeszcze innych dzieci? Innych dzieci jako odrębnych istot a nie jako układu odniesień dla ich własnej pociechy? A czy którykolwiek z rodziców ma świadomość tego, że dzieciństwo też może mieć historię? „Agatce i innym dzieciom...”

Cała książka jest świadectwem pewnego rodzaju dystansu, na który zdobywa się autorka, dystansu, ale też ogromu pracy włożonej w to, aby unaocznić fakt obecności dziecka i spraw z nim związanych na przestrzeni czasu. Czas – to kolejne słowo klucz, słowo struktura, czas, który porządkuje dzieciństwo a więc porządkować musi także książkę dzieciństwa dotyczącą. Oczekiwanie na dziecko, waga, jaką przywiązywano do jego płci, przesady, zabobony, a wszystko to przetykane modlitwami, które wyznaczały nadzieje matek na szczęśliwe rozwiązanie. To właśnie swoisty fenomen, wyraźnie zaakcentowany przez autorkę, to współistnienie obok siebie religii i magii, tak jakby obie te siły zawierały przymierze w celu ochrony przyszłego życia. Stąd przytaczane cytaty naprzemiennie z podań ludowych i ksiąg parafialnych, a za przykład niech posłuży cytowane przez autorkę dzieło S. Falamirz, „O ziołach i o mocy ich”, obok „Legendy Świętej Jadwigi”, w tłumaczeniu A. Jochelson.

Autorka śledzi uważnie wszystko, co towarzyszyło dziecku, a raczej, co istniało jeszcze przed jego narodzeniem, przygotowując mu jakby

drogę. Same narodziny, jak zresztą całość dziecięcego otoczenia, uzależnione były od pozycji materialnej rodziców. Inaczej rodziły królowe, inaczej chłopki. Te pierwsze z reguły w asyście położnej i dworek, te drugie najczęściej same, zdane jedynie na naturę i własny instynkt, czy też doświadczenie. Wspólna była jednak pokora w stosunku do cudu narodzin, wspólna radość z potomka, w tej materii zachwycają zwłaszcza listy J. Sobieskiego do Marysieńki, pełne radości z nowonarodzonych dzieci i troski o zdrowie ich mamy „...najpierwsza rzecz – zdrowie Wci jedynej mojej panny, o które w takich terminach jako się nie bać”<sup>4</sup>. Wspólna, niezależna od majątku czy przynależności społecznej była np. waga, jaką przywiązywano do wyboru imienia. Coś, czego brakuje, moim zdaniem, współczesnym rodzicom. Imię już na początku było wyrazem życzeń, jakie składano dziecku, nazwa określała czy wyznaczała trzon, dookoła którego miało, przynajmniej według rodziców, toczyć się przyszłe życie potomka. Nie było tu miejsca na jakąkolwiek przypadkowość czy zaniedbanie. Zdaje się, że ówczesni ludzie bardziej pamiętali o starotestamentowym darze, jaki otrzymali ludzie od Boga, o zdolności, przywileju nazywania, a więc powoływania do życia, a więc uczestnictwa w dziele stworzenia. Według Biblii to co pozbawione imienia, nazwy, nie miało prawa bytu, nie istniało.

Uczestniczymy też po części w obrządkach dotyczących chrztu, mając ten przywilej obserwowania historii Polski, niejako zza kulis. Widzimy więc dzieci Bony i Zygmunta Starego, Jana Kazimierza i Ludwiki Marii, Jana Sobieskiego i Marysieńki. Dzieje tej ostatniej pary są zresztą dosyć często obecne na łamach książki ze względu na liczne potomstwo przez nią posiadane. Niestety, jedynie czwórka z czternaściorga potomków królewskich dożyła dorosłości. To m.in. jest dla autorki przyczynkiem do poświęcenia zagadnieniu śmiertelności wśród dzieci osobnego miejsca. I właśnie ta kwestia jest przyczynkiem do podjęcia polemiki z P. Ariès, który to w swojej książce postawił dosyć dyskusyjną tezę jakoby: „Dziecko pozostawało w jakiś sposób anonimowe... Jeśli wtedy umierało, jak to się często zdarzało, budziło to niekiedy zmartwienie, ale z reguły ludzie nie przejmowali się śmiercią dziecka, bo rychło zastępowało je kolejne potomstwo”<sup>5</sup>. Autorka przeciwstawia temu twierdzeniu

bogaty zasób źródeł mówiących o żalu i bólu z powodu straty potomka (m.in. treny Jana Kochanowskiego, różnego autorstwa elegie, monodia, lamenty – nazwy stosowano zamiennie).

Zadziwiająca jest też codzienność małego dziecka. Tutaj z kolei uczymy się pokory w stosunku do przeszłości, okazuje się bowiem, że współczesność nie ma być z czego dumna myśląc np. o chodzikach, jest to wynalazek naszych przodków, dziś obecny jedynie w wersji udoskonalonej. Nie mogę również oprzeć się pokusie przeprowadzenia porównania dotyczącego wszelkiego asortymentu zabawek. Okazuje się bowiem, że i tej materii podstawowe pomysły, na których dziś bazujemy, są dziełem przeszłości; wszelkie bujane koniki, i miecze dla malutkich rycerzy były już obecne w zabawach najmłodszych od dawien dawna. Zadziwia w tym kontekście dzisiejsza chęć do wytwarzania zabawek coraz bardziej skomplikowanych, skoro dzieci z takim uporem wybierają nieodmiennie rzeczy najprostsze i dla nich najwygodniejsze. Możemy prześledzić również ewolucje spraw dotyczących dzieci, a uzależnionych w pewnym stopniu od mody czy uwarunkowań społecznych. Mam tu na myśli m.in. ubiór zmieniający się wraz z upływem czasu (wspomnieć trzeba koniecznie, że wszystkie rozważania na ten temat zilustrowane są przykładami z malarstwa, co niewątpliwie pomaga i czyni przyjemniejszym śledzenie zmian dokonujących się w tej dziedzinie). Poruszana jest także, jakże nam dziś mimo upływu czasu bliska, kwestia udziału matki i ojca w wychowaniu oraz społeczne docenienie ich trudu. Tutaj pozwolę sobie przerzucić most ku współczesności i zacytować słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, zawarte w encyklice *Laborem Exercens*: „[...] doświadczenie pokazuje, że należy starać się o społeczne dowartościowanie zadań rodzicielskich, macierzyńskich, trudu jaki jest z nimi związany, miłości, uczucia, których dzieci nieodzownie potrzebują, aby mogły rozwijać się jako osoby moralnie odpowiedzialne, i dojrzałe oraz psychicznie zrównoważone. Przyniesie to chlubę społeczeństwu jeśli umożliwi się rodzicom oddanie się trosce o wychowanie dzieci, odpowiednio do zróżnicowanych potrzeb ich wieku”<sup>6</sup>. Niech one właśnie będą najlepszym argumentem przemawiającym na korzyść bergsonowskiej ciągłości: wspólna istota zainteresowań, wspólne pytania

i jedynie odpowiedzi różniące się, bo zależne od wielu czynników, takich jak postęp cywilizacyjny a nierzadko także klimat światopoglądowy, czy filozoficzny wypełniający daną epokę. Oczywiście spotykamy również kwestie dotyczące struktury edukacji i jej rozwoju. To jednak zagadnienie tak szerokie, że tutaj autorka daje raczej pewne wskazówki dotyczące ewentualnych dalszych studiów w tym zakresie. Znano również dawniej konieczność medycznej opieki nad dzieckiem. Istniały różnorakie „poradniki”, przedstawiające wszelkie sposoby na, z jednej strony, zapobieganie chorobom, a z drugiej strony, na ich leczenie, leczenie, które oczywiście obejmowało przede wszystkim zioła.

Nieobce były również bolączki dotyczące opieki nad dziećmi porzuconymi i osieroconymi. I tutaj znów pozwolę sobie na komentarz naszego „dzisiaj”: „Jakże nie wspomnieć tutaj o przemocy wymierzonej przeciw życiu milionów istnień ludzkich, zwłaszcza dzieci, zmuszonych znosić nędzę, niedożywianie i głód?”<sup>7</sup> Wszystkie zagadnienia przytoczone przeze mnie powyżej porusza w swojej książce D. Żołądz-Strzelczyk. Dodatkowym, ogromnym atutem, który dodaje książce pięknego kolorytu są cytaty z literatury staropolskiej, cytaty dotyczące postrzegania dziecka oczami jego współczesnych. Strona literacka, czy też źródła, służące ilustracji, są tutaj przede wszystkim ogromnie zróżnicowane. Mamy więc tu zarówno wyjątki z poradników, dziecięce fraszki i rymowanki, fragmenty z listów dotyczących ważnych wydarzeń z życia rodzinnego, a więc radosne relacje z narodzin, a także treny żałobne z powodu śmierci (tutaj oczywiście odsyłam do dzieł J. Kochanowskiego). Mamy tu więc z jednej strony ogłęd z początku trzeciego tysiąclecia, a z drugiej strony, jak gdyby dla kontrastu, relacje, komentarze, rady i refleksje podawane jakby na bieżąco, osadzone w tym samym miejscu i czasie. Czytając książkę D. Żołądz-Strzelczyk żałowałam, że jest to stosunkowo gruby tom (350 stron), bo inaczej, targałabym go ze sobą wszędzie, zaczytując się w tramwaju, przychodni lekarskiej, podróży. Nigdy nie byłam pasjonatką zagadnienia zwanego „dzieciństwem”, a jednak książkę tę czyta się z przyjemnością. Jasna koncepcja, przejście rozdziałami od przygotowań do porodu, poprzez wczesne dzieciństwo, codzienność dziecka, jego naukę i zabawy, a skończyw-

szy na zagadnieniach dotyczących zagrożeń życia, wyzwala ją poczucie, że towarzyszy się jednemu dziecku we wszystkim, co go dotyczy. Oczywiście istnieje „rysa na szkle”, jest nią, przynajmniej z mojego punktu widzenia, nadmiar szczegółów; tysiące imion, nazwisk i przykładów przytaczanych często odnośnie tego samego zagadnienia sprawia, że miejscami czytelnik ma prawo czuć się znudzony, chociaż może jest to odpowiedni czas, aby podnieść wzrok znad książki i spojrzeć na własne dziecko, bawiące się na dywanie?

Dzieciństwo ma w sobie coś magicznego po części dlatego, że dla samego dziecka pozostaje ono po trosze tajemnicą. Z tamtego okresu pozostaje na ogół mgliste wspomnienie, dotyczące zazwyczaj klimatu czy może lepiej aury, która wypełniała tamten czas. Oczywiście jest, że warunki czy otoczenie ulegają zmianie, są one bowiem uzależnione od postępu cywilizacyjnego, oczywistym jest jednak również fakt o istnieniu pewnej ciągłości. I ta ciągłość właśnie jest tak dla mnie zdumiewająca, dotyczy ona pewnych pod-

staw, które paradoksalnie i wbrew wszystkiemu pozostają niezmiennie. Miłość matki, jej oczekiwanie i nadzieja, jej dbałość o bezpieczeństwo, jej intuicja, wreszcie kołyska, grzechotka, zabawa w ciuciubabkę czy kołysanka śpiewana, by odpędzić złe duchy. „Kaźde dziecko jest fenomenem” – to słowa Jana Pawła II. Jak wiele innych nie są one żadną nowością a jedynie przypomnieniem prawdy znanej już od dawna.

Nadia Kostrzewa

<sup>1</sup> H. Bergson, *Pamięć i życie*, przekł. A. Szczepańska, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1996.

<sup>2</sup> S. Łempicka, *Dziecko w literaturze staropolskiej*, „Kurier Literacko-Nukowy” 1938, nr 2.

<sup>3</sup> Ph. Ariès, *Historia dzieciństwa. Dziecko i rodzina w dawnych czasach*, tłumacz. M. Ochab, Gdańsk 1995.

<sup>4</sup> Cyt. za: D. Żołądź-Strzelczyk, *Dziecko w dawnej Polsce*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002.

<sup>5</sup> Ph. Ariès, *op. cit.*

<sup>6</sup> Jan Paweł II, *Encykliki Ojca Świętego*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1996, s. 80.

<sup>7</sup> Jan Paweł II, *Evangelium Vitae, Encykliki Ojca Świętego*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1996.

## Dorota Żołądź-Strzelczyk, Wiesław Jamrożek, Studia z dziejów edukacji kobiet na ziemiach polskich, Agencja Wydawniczo-Poligraficzna „Bajt”, Poznań 2001, ss. 152

Wśród tematów poruszanych często przez badaczy kobieta zajmuje ważne miejsce. Jest bowiem zagadnieniem uniwersalnym i ponadczasowym zarówno w życiu i nauce, jak również w literaturze czy sztuce. „Świat bez kobiet byłby jak ogród bez kwiatów” – powiedział Pierre de Brantôme i trochę się wygłupił, bo świat bez kobiet nie mógłby w ogóle istnieć.

Na przestrzeni wieków kobiety były kojarzone bardzo różnie. Femme fatale, to kobieta fatalna, przynosząca zgnębienie mężczyźnie, z którym los ją zetknął. Kobieta bohater – to typ rycerski, kobieta, która przejmując funkcje męskie, przywdziewa zbroję, idzie walczyć. Często kojarzono kobietę z aniołem, który oczarowuje i rozkochuje w sobie romantycznego kochanka. Była też kobieta kopciuszek, która robi błyskotliwą karierę tylko dlatego, że jest ładna i dobra.

Dziejom kobiet często poświęcano wiele uwagi. Amazonki – wojowniczkami z mitologii, stworzyły własną, kobiecą krainę i obchodziły się bez mężczyzn. Literatura przedmiotu pokazuje, że one pierwsze parały się wojennym rzemiosłem, nie godziły się z męskimi rządami.

Na przełomie IV i V w. natomiast, jeden z podstawowych przedstawicieli starożytnej myśli chrześcijańskiej, św. Augustyn, nastawiony był wrogo wobec kobiecego rodu, widział w nim narzędzie szatana i źródło grzechów. Twierdził, że kobieta to zdeformowany mężczyzna. Z kolei reprezentant późnośredniowiecznej myśli chrześcijańskiej, św. Tomasz z Akwinu, także uznawał wyższość mężczyzny nad kobietą, ale tylko w sensie cielesnym, przyrodniczym, bo to właśnie mężczyzna zyskiwał chwałę z racji poczęcia potomstwa. Ale za to jako dusze – św. Tomasz